Cena 18 fen. — 13 cent.

Nr. 12. Rok X.

ŚWIATŁO

Pismo ilustrowane dla rodzin polskich.



Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „KATOLIKA" Bytom

ŚWIATŁO

Rok X. Bytom G.-Ś., 15-go Czerwca 1896. Nr. 12.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste **t** 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

NIEGODNY.

(Ciąg dalszy.)

VII.
Zamek Hohenhofen.

Promienie słońca przedzierały się łagodnie przez mgliste obłoki. Środkiem doliny płynęła mała, bystra rzeczka, ocieniona po obydwóch stronach pochyłemi wierzbami, ponad któremi wystawały cieniste olchy, poustawiane w malowniczych gromadkach.

Nieco dalej ukazywało się piękne wzgórze porosłe kwitnącymi krzakami, z pomiędzy których już zdaleka można było widzieć wieżyczki pałacyku, zwanego zamkiem Hohenhofen, chociaż stara siedziba rycerska, zamieniona dziś w malowniczą ruinę, leżała nierównie dalej na uboczu. Pałacyk przedstawiał się nader wspaniale, górując nad szeregami domów krytych dachówką, zapełniających całą dolinę, pomiędzy którymi ukazywały się ogromne budynki, gęsto najeżone wysokimi kominami buchającymi dymem.

Wnętrze pałacu odpowiadało jego wspaniałej powierzchowności. Piękne marmurowe schody wiodły do obszernej wystawy opartej na rzeźbionych słupach z ozdobami po bokach, wysłanej kosztownemi dywanami. Wysokie oszklone korytarze, ozdobione najrzadszemi roślinami, prowadziły do dolnych mieszkań, odsłaniając przepyszne schody prowadzące na górne piętro, zawierające paradne salony, przybrane z niesłychanym zbytkiem i wytwornym smakiem. Wszystko to jednak raziło pustką, osamotnieniem, brakiem wszelkiego życia. Cały ten szereg obszernych komnat z pospuszczanemi firankami, które nie dozwalały się przedrzeć najmniejszemu promieniowi słońca, raził grobowem zimnem i sztywnością. Posadzka, gładka jak zwierciadło, była tak starannie wyfroterowana, jak gdyby lada chwilę głuche te salony miały się napełnić wesołymi gośćmi. Ale podobna chwila nigdy tu nie nastąpiła; cała ta przepyszna siedziba była równie pustą i osamotnioną, jak małe zakurzone pokoiki brazylijskiej chaty. Dla napotkania jakich takich śladów życia, trzeba było, wyminąwszy paradne pokoje, udać się ku lewemu skrzydłu pałacu, którego okna wychodziły na najpiękniejsze klomby ogrodu.

Tam dopiero widzieć można było życie, podniesione młodzieńczą działalnością. Pokoje odznaczające się wykwintnym smakiem i wygodą świadczyły, . że ich urządzeniem kierował światły i czynny umysł.

Lecz zato zupełną sprzeczność stanowiło przeciwne skrzydło pałacu, mające obszerny widok na zakłady fabryczne i domy robotników rozrzucone w dolinie. Wszystkie tu znajdujące się pokoje odznaczały się jakąś urzędową, kancelaryjną cechą. Na wszystkich przedmiotach spoczywał jakiś tajemniczy cień żałoby, podobny do mroźnego szronu pokrywającego nawet cień wdzięku lodową warstwą.

Tego przykrego wrażenia nie mógł przytłumić piękny bukiet świeżych kwiatów stojący na stoliku, ani nadobna twarz młodej panienki, siedzącej w zamyśleniu przy oknie.

Twarz jej zdradzała w tej chwili pewne zakłopotanie i przymus; jej oczy zwróciły się trwożliwie w głąb pokoju, na postać starca spoczywającego w obszernym fotelu, z głową wspartą na poduszce i nogami, pomimo letniego ciepła, owiniętemi grubą kołdrą. Postać tego starca, złamanego wiekiem i chorobą, odznaczała się dziwną surowością; twarz miała wyraziste, jakby żelazne rysy, jakkolwiek wynędzniała od choroby, wskazywała potężną wolę człowieka. Kiedyś, gdy jeszcze uśmiech gościł na tej dumnej twarzy, mogła ona być piękną, ale ten czas minął już bezpowrotnie, ulatująca młodość zabrała z sobą uśmiech i przygasiła ogień w oczach, a cierpienia wyryły piętno surowości i zniechęcenia.

Posępne powietrze na dworze odpowiadało w zupełności usposobieniu dwóch osób, siedzących obok siebie w pokoju. Zamyślony starzec przypominał chmurny widnokrąg nieba, którego czarnych obłoków nie mogły przedrzeć oczy dziewczyny. Była ona podobną do słonecznego promienia wpośród tej dusznej, burzliwej atmosfery. Przenikliwe jak błyskawice, groźne jak huki gromu, były słowa, które przed chwilą wymówił starzec, a słodki głos jego towarzyszki musiał wobec nich zamilknąć; z dziecięcą uległością poddała się nieuniknionemu losowi.

Przyjęła ona pokornie niesprawiedliwe słowa, jak gdyby już oddawna do nich nawykła. Spokojnie odwróciła się do okna, spoglądając na walkę słońca z chmurami, po chwili powstała z miejsca i zbliżyła się do starca, aby mu poprawić poduszki i kołdrę.

— Czy mam ci co przeczytać, stryjaszku? — zagadnęła słodkim głosem.

Chory zrobił ruch odmowny. W tej chwili drzwi uchyliły się zwolna i na palcach wszedł podeszły w wieku służący.

— Panno Paulo! — odezwał się szepcącym głosem, który tak łatwo sobie przyswajają ludzie zmuszeni do ciągłego obcowania z chorymi; — powóz powrócił właśnie ze stacyi, przywożąc z sobą tę cudzoziemską pannę do towarzystwa. Zaprowadziłem ją do dolnego pokoju.

— Dziękuję ci, Fryderyku! Pójdę natychmiast do niej, a ty pozostaniesz tymczasem na mojem miejscu.

— O czem to mówicie? — odezwał się cierpko chory. — Czyż nie wiecie, że nienawidzę tych wszystkich szeptów?

Nie uważając na to ostatnie zdanie, Paula rzekła głośno obracając się do pytającego:

— Przyjechała właśnie miss Frinksly; chciałabym pójść się z nią przywitać.

— A możesz iść sobie! — odburknął starzec, nie wypuścił jednak z dłoni swojej ręki dziewczęcia i dodał łagodniej:

— Słuchajno Paulo! musisz być bardzo grzeczną dla tej cudziemki, przez wzgląd na Bergmannsa. O ile mogłem zmiarkować musi ona z nim być spokrewnioną, gdyż ją tak gorąco zalecał; dla mnie to prawdziwa ulga, że znowu w jakibądź sposób zechciał odnowić ze mną stósunki. Nie chciałbym zatem zrobić mu zawodu i spodziewam się, że miss Frinksly nie dozna w moim domu żadnej nieprzyjemności. Pamiętaj zastósować się do tego, czy rozumiesz?

Długa ta przemowa wyczerpały siły chorego starca, który przymknąwszy oczy pochylił głowę ku poduszce. Paula nie przerywała mu, dopiero kiedy skończył odezwała się spokojnie:

— Możesz być pewnym, stryjaszku, że nie sprzeciwię się twoim rozkazom. Wiesz dobrze, że nie jestem wymagającą i gdyby nie twoja wyraźna wola, z chęcią byłabym się wyrzekła panny do towarzystwa. Z tem wszystkiem miss Frinksly będzie dla mnie pożądanym gościem i zajmie obok mnie miejsce przyjaciółki, jeżeli tylko sama tego zechce. W każdym razie, jako krewna pana Bergmannsa, nie będzie miała nigdy powodu do użalania się na brak należnych sobie względów. Po tych słowach spiesznie opuściła pokój, dawszy znak głową Fryderykowi, ażeby się zbliżył do chorego pana.

W czasie tej rozmowy pomiędzy stryjem i synowicą, nasza znajoma miss Frinksly znajdowała się w jednym z bocznych pokojów.

Powóz, który ją przywiózł, stał dotąd w dziedzińcu, a ona przypatrywała się znoszeniu swoich skromnych pakunków. Ale ten widok zaledwie na chwilę zatrzymał jej uwagę, oko jej błądziło ciekawie po całej okolicy, poczem nanowo zwróciło się ku pokojowi, do którego została wprowadzoną.

Jeżeli mieszkanie nosi na sobie pewną cechę charakteru osób, które je urządzały, to nasza amerykanka mogła sobie powinszować towarzystwa młodej panienki, do której ją los zaprowadził; zaledwie bowiem można sobie było wyobrazić przyjemniejszą siedzibę, nad tę co ją otaczała. Wszystko tu było pełne światła, jasne i urocze.

Prześliczne obicia ozdabiały ściany, śnieżystej białości firanki zwieszały się obok okien, opiętych zewnątrz zielenią, wewnątrz zaś zastawionych najpiękniejszemi kwiatami. Powyżej wazonów wisiała klatka z kanarkiem, któremu tak dobrze było w tem otoczeniu, że zapominając o zamykających ją drzwiczkach, wyśpiewywał wesoło od świtu do zmroku. Ale nietylko te śpiewy ptaszęcia i wdzięk istnej powodzi kwiatów świadczyły o duchowem usposobieniu pani tego miejsca. Oprócz tego znajdował się tam jeszcze fortepian, a obok niego szafka napełniona utworami pierwszorzędnych mistrzów, biblioteka starannie zaopatrzona dziełami drukowanemi we wszystkich europejskich językach; pod samem zaś oknem stał zgrabniutki stoliczek, na którym rozmaite pozaczynane roboty przemawiały wyraźnie, że młoda pani umiała łączyć w swem życiu przyjemne z pożytecznem. Jednem słowem całość tego mieszkania przedstawiała jak najpowabniejszy obraz, a jednakże na bladej twarzy amerykanki odbijał się jakiś cierpki wyraz w chwili, gdy przebiegała wzrokiem otaczające ją przedmioty. Nagle odwróciła oczy i zaczęła słuchać. Na korytarzu dał się słyszeć odgłos spiesznych kroków, drzwi otworzyły się zlekka, weszła Paula i obie młode panienki znalazły się naprzeciw siebie. Obie zarówno zdawały się być zadziwione, każda z nich bowiem powzięła odrębne wyobrażenie o tem co miała zobaczyć; równie jedna jak druga nie wystawiała sobie swej towarzyszki tak młodą.

Paula Hohenhofen liczyła zaledwie lat dwadzieścia; jej wysmukła postać przewyższała o całe pół głowy amerykankę; jej przyjemna twarz, zabarwiona rumieńcem zdrowia, czyniła ją jeszcze młodszą, niż była w istocie, a piękne, gładko zaczesane blond włosy, przy modrych źrenicach, nadawały jej wyraz szczególnej łagodności.

Ale jakkolwiek ładnie wyglądała Paula, wdzięki jej niknęły zupełnie wobec piękności cudzoziemki, która stała przed nią prawie w pokornej postawie a jednak wyglądała na prawdziwą panią tego zamku.

Paula została zdumiona, niemniej nader uprzejmie wyciągnęła do niej rękę.

— Witam cię całem sercem w tym domu, miss Edyto Frinksly! Spodziewam się, że zechcesz go uważać za swój własny i że wkrótce poprzyjaźnimy się z sobą!

Wdzięczny uśmiech rozjaśnił na te słowa piękną twarz amerykanki, która ścisnąwszy zlekka podaną sobie rękę, odrzekła z ukłonem:

— Jesteś bardzo dobrą dla cudzoziemki, miss Hohenhofen! Uczynię, co tylko będę mogła, ażeby godnie odpowiedzieć przyjętemu zobowiązaniu, ale proszę naprzód o pobłażanie i cierpliwość.

— Sądzę, że będą one zarówno przydatne obu stronom! — przerwała z uśmiechem Paula; — jednakże o ile się zdaje, jakoś łatwo z sobą przyjdziemy do ładu. Najtrudniej tylko zawsze o dobrą wolę, a reszta znajdzie się sama z siebie. Ale teraz proszę się rozgościć i myśleć tylko o własnej przyjemności. Mam panią zaprowadzić do jej pokoju, abyś mi powiedziała, czy tam czego nie brakuje? Wieczorem pogadamy o reszcie, będziemy miały do tego aż nadto czasu, gdyż prawie ciągle będziemy same; rzadko kiedy przytrafiają się u nas jakieś zmiany... mój stryj jest ustawicznie cierpiący i nie przyjmuje nikogo. Takie to są nasze stosunki ze światem, które odtąd będziemy podzielały wspólnie; będę pani niezmiernie wdzięczna, jeżeli się nie bardzo pogniewasz na tę samotność, jaka cię tu czeka.



W ZWIERCIADLE.

— O! co do tego możesz być spokojną, miss Hohenhofen, gdyż takie samotne życie odpowiada właśnie moim upodobaniom... z pewnością nudzić się niem nie będę.

— Cieszy mię to serdecznie, miss Frinksly.

Rozmawiając w ten sposób panny doszły do dwóch pięknych komnat, przeznaczonych na mieszkanie dla Edyty.

— Proszę się teraz rozgospodaro-

wać! — zawoła z uśmiechem Paula. — Przyślę tu natychmiast moję pokojówkę, ażeby pani dopomogła.

Amerykanka podziękowała uprzejmie, utrzymując, że jest przyzwyczajoną obywać się bez cudzej pomocy i najlepiej sama sobie poradzi.

— A więc rób pani jak ci się tylko podoba! — odparła młoda gospodyni domu; — proszę tylko nie zapominać, że jesteś tu najzupełniej u siebie. A teraz do widzenia, za parę godzin.

Z takiemi słowy pełnemi dobroci oddaliła się Paula, i cudzoziemka pozostała sama w swojem wykwintnem mieszkaniu. Podniosła obie ręce ku głowie i przycisnęła niemi silnie bijące żyły w skroniach.

— A więc znajduję się rzeczywiście w Hohenhofen, a do tego jestem tak mile przyjmowanym gościem... — wyszeptała drżącemi ustami.

Uśmiech szyderski skrzywił jej wargi.

— Wydaje się tak dobrą a jednak jest obłudna, tak samo jako i ten drugi. Bergmanns nie pomylił się wcale. Mniejsza o to, trzeba się będzie mieć na baczności; — dokończyła zbliżając się do okna, z którego mogła widzieć całą dolinę rozciągającą się daleko u stóp zamku.

— Jakże też tu wszystko podobne do owego obrazka! Jakże trawiąca tęsknota przechowała wiernie każdy przedmiot w pamięci matki mojej nieszczęśliwej! I ja mam nie zapominać, że tu jestem zupełnie u siebie? Wszakże tak powiedziała teraźniejsza pani zamku.

Po tych słowach Edyta upadła bezsilnie na fotel; zasłoniwszy twarz rękoma, przez chwilę pozostawała bez najmniejszego poruszenia. Nagle zerwała się z miejsca i rzekła:

— O tak, niech się stanie według tego, co mi powiedziano. Postaram się być tak jak u siebie. Mniejsza o walkę!

VIII.

Dnie spokoju.

Dwa tygodnie wystarczyły dla miss Frinksly, ażeby czuła się w zamku Hohenhofenów, jak gdyby w nim od urodzenia przebywała. Dawna jej nieprzystępność znikła gdzieś bez śladu, a raczej zamieniła się w pełną ufności swobodę w obejściu. Przy swoim rozumie i pojętności posiadała ona rzadki dar przypodobania się każdemu. Wszyscy pokochali ją niebawem, z wyjątkiem samego pana zamku. Drzwi tego ostatniego pozostały dla niej zamknięte. Nie znał on wcale jeszcze nowoprzybyłej i nie życzył sobie jej nawet poznać. Edyta ze swej strony przyjęła to z wielką obojętnością i kiedy jej odmówiono przedstawienia Hohenhofenowi, nie wspominała już o tem wcale. Nieliczna służba zamkowa, składająca się przeważnie z samych starych ludzi, przywiązała się do niej z jakiemś szczególnem uwielbieniem. Żadnemu z nich ani przez myśl nie przeszło uważać ją za płatną towarzyszkę swej pani, lecz widzieli w niej jedynie prześliczne i miłe dziecię, które otaczali troskliwością, jak i Paulę. Sama Paula z największą rozkoszą podzielała z Edytą wszelkie przyjemności, na jakie pozwalał jej ogromny majątek, jak również i rozliczne zajęcia będące żywiołem jej czynnego ducha. Z największem upodobaniem starała się być użyteczną sierocie, płacąc za jej towarzystwo nie tylko pieniędzmi ale i pełną poświęcenia siostrzaną miłością. Zupełna samotność dopomogła im do zawarcia ściślejszej przyjaźni.

Pozostawały prawie zawsze razem, z wyjątkiem owych godzin, które Paula z największą sumiennością poświęcała doglądaniu chorego stryja. Razem oddawały się muzyce, czytaniu i robótkom kobiecym, starając się coraz lepiej poznawać i rozumieć wzajemnie.

Wpośród wesołej gawędki przechadzały się codzień po obszernym parku, odbywając niekiedy i dalsze wycieczki ku zakładom fabrycznym znajdującym się poniżej zamku. Paula lubiła bardzo zapuszczać się w tamte strony, gdzie szczególniej wabił ją skromny kościół, którego była kolatorką

Ale częściej jeszcze można ją było widzieć w ubogich domkach fabrykantów. Chętnie ona odwiedzała wszystkich

biednych robotników, śpiesząc wszędzie, gdzie tylko niedola, choroba, lub inne troski wymagały jej pomocy. To też znano ją i uwielbiano powszechnie, jak prawdziwego anioła pocieszyciela, a każdy nędzarz znał dobrze drogę do zamku, gdzie omijając przepyszną marmurową kolumnadę skręcał ku lewemu skrzydłu, bo tam znajdowało się urocze mieszkanie Pauli.

Edyta towarzyszyła jej często w takich pobożnych wycieczkach, ale ponieważ bystre oko Pauli dostrzegło niebawem, iż czyniła to raczej z rezygnacyą niż upodobaniem, przeto pozostawiła jej najzupełniejszą swobodę; z tego też korzystała miss Frinksly, bądź to pozostając we własnym pokoju, bądź odwiedzając starą klucznicę Małgorzatę, której ze zwykłą uprzejmością lubiła oddawać rozmaite przysługi. Staruszka ta była żoną znanego już nam Fryderyka i podobnie jak on, od dzieciństwa prawie podzielała złe i dobre losy domu Hohenhofenów. Dziś jeszcze stała ona na czele całej żeńskiej służby zamkowej, chociaż z powodu choroby i podeszłego wieku rządziła jedynie podwładnymi z głębi swojego pokoiku. Cierpiała ona niewymownie w skutek tego odosobnienia można więc sobie wyobrazić szczęście poczciwej Małgorzaty, kiedy jej los nastręczył nową a wielce cierpliwą słuchaczkę, w osobie ślicznej amerykanki, dla której jeszcze wszystkie jej przysłowia, opowiadania i anegdoty nie były jak dla innych spowszedniałą rzeczą. Bo też uprzejma miss słuchała zawsze ze szczególną uwagą, ile razy Małgorzata, wpadłszy na ulubiony tor opowiadania, zaczęła kreślić wymownemi słowy dawną arystokratyczną przeszłość Hohenhofenów, którą ostatni potomek tego rodu pogardził bez litości; wspominając jak to zupełnie inaczej bywało w zamku przed laty, nim stary pan stracił do szczętu zdrowie i dobry humor, stawszy się dla wszystkich szorstkim i niedostępnym. Ile to on się wycierpiał pomimo swoich bogactw, tracąc kolejno wszystkich, co byli tak drogimi jego sercu. Wszystkim opowiadaniom staruszki towarzyszyły głębokie westchnienia, po których dodawała urywanym głosem:

— O! tak, tak, trudno i wypowiedzieć, ile się to nacierpiało to biedne panisko.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O SZKLE.

Nikt nie wątpi o ważności szkła, mając go w codziennem użyciu; prawie wszyscy korzystamy z niego; ale wielu się znajdzie, którym nie jest wiadomo, jak się szkło robi, i wiele to set, a nawet i tysięcy lat od stworzenia świata upłynęło, nim ludzie przyszli do wynalazku tego ważnego materyału, bez którego tak długo wprzódy na liczne niewygody wystawieni byli. Wiemy bowiem, iż szkło, w kształcie szyb użyte do okien, zabezpiecza nas od zimna i wiatrów, nie tamując przez właściwą sobie przezroczystość błogiego światła słonecznego; szkła używamy do przechowywania napojów i innych płynów, a to w kształcie butelek, gąsiorów itp. Szkłu przerobionemu na zwierciadła zawdzięczamy wielką ozdobę mieszkań naszych, dalej w kształcie naczyń domowych, jako to: kufli, szklanek, kieliszków i t. p. służy nam do codziennego użytku i niemal staje się niezbędną naszą potrzebą.

Jakżeż ono staje się nam jeszcze dobroczynnem, gdy użyte w kształcie konserw lub okularów, wzmacnia wzrok nasz nadwerężony starością lub pracą i dozwala nam cieszyć się widokiem wielu rzeczy, którychbyśmy inaczej wcale albo niedokładnie dojrzeć mogli? Za jego to pomocą starzec książki czytać może, a czerpiąc z nich wiele pożytecznych wiadomości, wznosi przez to du-

cha swego; pracując zaś umysłowo, kiedy stargane wiekiem siły pracować rękom nie dozwalają, znajduje przy pomocy szkła częstokroć utrzymanie życia.

Dalej sięgnąwszy, szkłu zawdzięcza nauka ciał niebieskich (astronomia) głębszy rzut oka w tajniki sklepienia niebieskiego. Za pomocą bowiem stósownie przyrządzonych i wydoskonalonych szkieł, uczeni astronomowie są w możności robienia odkryć na gwiazdach i planetach, obliczenia ich biegu, spostrzeżeń i wypadków w całem przyrodzeniu zajść mogących.

Wieleby jeszcze przytoczyć można korzyści ze szkła; poprzestańmy jednak na tych, a zastanówmy się bliżej, z czego i jak szkło się robi, i jakim sposobem wyrabiać z niego można tyle użytecznych rzeczy, oraz jak dawno ono znanem jest światu.

Kiedy i gdzie szkło wynaleziono, ktoby był jego wynalazcą, nie jest dostatecznie pewnem; to jednak nie ulega wątpliwości, że długo przed narodzeniem Chrystusa Pana było już znanem.

Utrzymują, że Fenicyanie, naród zamieszkujący niegdyś wybrzeża zachodniej Azyi, graniczący z Judeą, o których Pismo święte wspomina, że za czasów królów Dawida i Salomona byli narodem handlującym, i u których kunszta i handel stały na wysokim stopniu, wynaleźli na 1000 lat przed narodzeniem Chrystusa sposób robienia szkła. Następującą powiastkę podają w tym względzie pisarze starożytni. Kupcy fenicyjscy, wylądowawszy razu pewnego na brzegach rzeki, użyli na podkładkę pod naczynia, w których pożywienie gotowali, kilka kawałów saletry, którą wieźli na statkach. Po wygaszeniu ognia, spostrzegli, że stopiona siłą ognia saletra w połączeniu z równie stopionym piaskiem, na którym ogień rozżarzyli, i popiołem z drzewa, wydała massę przezroczystą; co po dalszych próbach doprowadziło starożytnych do wydoskonalenia robienia szkła.

Przyjmując lub nie, tę powiastkę za prawdziwą, bardzo być może, że wypadek podobny posłużył do tego wynalazku, doszedł do tego stopnia doskonałości, w jakiej go dziś widzimy.

Fabrykacya szkła dzieli się na dwie główne części, t. j. na fabrykacyą massy szklanej i wyrabianie z niej naczyń, szyb, luster i innych przedmiotów; a że takowe nie mogą być robione tylko z massy płynnej, dlatego robienie samego szkła i nadawanie mu różnych kształtów jednocześnie odbywać się musi. Zabudowania fabryczne, tak nazwane huty szklane, są stawiane w okolicach leśnych, gdzie drzewo blisko i podostatkiem się znajduje. W zabudowaniach tych, w których posadzka jest z cegieł, wymurowany stoi w środku duży komin, służący do wypuszczania dymu z dwóch urządzonych stósownie pieców, w których się samo topienie szkła odbywa.

W piecach tych urządzone są tygle ogniotrwałe, w które materyały potrzebne do topienia kładą. Głównymi materyałami do szkła są piasek i popiół, dalej w mniejszych częściach: saletra, arszenik i inne, do nadania koloru szkłu służące.

Gdy piasek i popiół stanowią najgłówniejszą podstawę wyrobu szkła, od wyczyszczenia więc dokładnego tych głównych materyałów zależy czystość jego. Arszenik używa się dla zrobienia piasku topniejszym, saletrę dodają dla zrobienia szkła bielszem i przezroczystszem. Stosunek, w jakim się tych materyałów używa, zawisł od uznania fabrykanta, a to znowu zawisło od gatunku przyrządzić się mającego szkła.

W tyglach wyżej opisanych topią się te materyały za pomocą ciągle utrzymywanego ognia przez godzin 48; gdy massa dostatecznie jest stopioną, zręczni hutnicy zabierają się do robienia naczyń, tafli, luster i t. p. Ciekawą to jest rzeczą patrzeć, jak w ręku robotnika z zaczerpniętej cząstki gorejącej massy, na końcu rurki metalowej powstaje przez dmuchanie bednąca bania szklana, która będąc jeszcze miękką, przybierać może wszelkie kształty, jużto przez włożenie jej w formę, jużto przez zręczne wywijanie nią w powietrzu.



JAGUAR NA ŁOWACH. (Obacz objaśnienia rycin na str. 192).

Dokąd wydoskonalenie wyrobów szklanych doprowadzić może, trudno określić; tej uwagi jednak pominąć nie można, że przed 300 laty szkło było w takiej cenie, że posiadanie zwierciadła, pół łokcia kwadr. obejmującego, stawało się tylko bardzo bogatym przystępne, i było często darami królów. Któż dziś posiadać nie może zwierciadła i jakichto rozmiarów! Największem dziełem ze szkła, w całej jego historyi, jest bez wątpienia pałac tak zwany kryształowy w Londynie, w którym roku 1851 wielka wystawa płodów przemysłu całego świata się znajdowała. Jest on wzniesiony w ten sposób, iż wielkie szklane tafle, stanowiące dach i ściany, ujęte są żelaznemi wązkiemi ramami; a tafle te ułożone na płaszczyznie, zajmowałyby przestrzeni łokci 90,000 kwadr., ważą zaś 8,000 centnarów. Pierwszy w tym rodzaju gmach ten wspaniały jest dowodem, do jak zdumiewających utworów praca i przemysł człowieka doprowadzić mogą!

PRACA.

Już od wieków bracia mili! — w świętych księgach stoi:
Bogu płaca — chętna praca — co dobytek dwoi.
Praca źródłem jest dla życia, pokarmem dla duszy,
Co człek pracą swą zdobędzie, czas niełatwo skruszy.
Praca oraz jest modlitwą miłą Panu Nieba;
Więc nie dosyć mówić pacierz, lecz pracować trzeba.
Praca szczera myśl rozjaśnia i sercem kieruje,
Z nią też człowiek patrzy śmielej — żywiej piękność czuje.
Praca dla nas tak potrzebna, jak dla ryby woda,
W pracy silniej bije serce — w myślach jest swoboda.
Praca dla nas tak potrzebna, jak dla ziemi rosa;
Gdy człek w pracy, to do niego śmieją się niebiosa.
Praca szczera daje siłę i męzkość i zdrowie,
I poczciwe budzi chęci, budzi rozum w głowie.
Praca dla nas to skarb wielki — to nauka święta,
Wszakże w pracy ziemia cała przez Boga poczęta.
Praca dla nas jest osłodą nawet wśród cierpienia,
Niedopuszcza grzesznych myśli — broni od zwątpienia.
Tak od wieków bracia mili! w świętych księgach stoi:
Bogu płaca — chętna praca — co dobytek dwoi.

Ksiądz prałat Antoni Klingenberg.

Zmarły na początku bieżącego roku w Pelplinie ks. prałat Jan Karol Antoni Klingenberg zajmował w dyecezyi chełmińskiej wybitne stanowisko. Urodził się on 20-go maja 1814 r. w Chełmnie, gdzie ojciec jego Antoni (ożeniony z protestantką Joanną Gebhard) był rektorem wyższej szkoły miejskiej także gimnazyum zwanej, dawniejszej akademii, która czasu swego była filią uniwersytetu Krakowskiego.

Pod okiem ojca swego odebrał ks. Klingenberg początki nauk klasycznych w Chełmnie; r. 1830 przeszedł do gimnazyum chojnickiego, które było na ów czas jedynym wyższym zakładem naukowym w Prusach Zachodnich; w Chojnicach też uzyskał świadectwo dojrzałości. Następnie słuchał w Wrocławiu matematyki, filozofii i teologii. Roku 1837 wstąpił do seminaryum duchownego w Pelplinie; tam ukończył studya teologiczne i utrzymał sakrament kapłaństwa z rąk biskupa Anastazego Sedlaga dnia 20-go Kwietnia 1840 r. Zaraz po wyświęceniu towarzyszył rzeczonemu bis-

kupowi w podróży wizytacyjnej w dekanacie nowskim, gdzie Arcypasterz poznał jego niestrudzoną pracowitość. To też po krótkiem urzędowaniu w Subkowach i Chełmnie powołał go jako samodzielnego wikarego lokalnego w obszernej parafii prągowskiej. W Czerwcu 1843 r. otrzymał kanoniczną instytucyą na probostwo lubawskie z woli Arcypasterza, gdyż sam sobie życzył opróżnionego wtedy probostwa bobowskiego, na które miał już prezentę. Roku 1858 mianował go ks. biskup Jan Nepomucem Marwicz kanonikiem honorowym i komisarzem biskupim na 13 dekanatów, które stanowią część dyecezyi chełmińskiej po prawym brzegu Wisły. Obie te godności objął ks. Klingenberg po śmierci ks. kanonika Osmańskiego z Brodnicy.

Na początku 1869 r. otrzymał śp. ksiądz Klingenberg za prezentacyą rządową, którą wyjednał mu osobistym wstawieniem się Arcypasterz, rezydencyjny kanonikat przy katedrze w Pelplinie, na który dnia 11-go Lutego 1869 instalowany został.

Skoro się sprowadził do Pelplina, mianowany został radcą duchownym i to głównie dla spraw szkolnych. We Wrześniu tego samego roku, po śmierci śp. ks. prepozyta Dr. Hassego, objął urząd generalnego wikarego i officyała. Na tym na owe czasy nader trudnym urzędzie wytrwał ks. Klingenberg aż do śmierci księdza biskupa Jana Nepomucena Marwicza (d. 26. Marca 1886 r.). W czasie jego urzędowania wrzała walka kulturna. Jak się wtedy ksiądz Klingenberg Kościołowi św. przysłużył, to jest jeszcze w świeżej pamięci. Podczas opróżnienia stolicy biskupiej Chełmińskiej został on znowu przez wikaryusza kapitulnego i administratora biskupstwa do konsystorza na radcę powołany i pozostał nim także i za rządów teraźniejszego księdza biskupa Leona Rednera, aż do swego zgonu.



Ks. prałat Antoni Klingenberg.

Ojciec św. Leon XIII. mianował go protonotaryuszem apostolskim, która to godność jest najwyższą po biskupie i prałatem domowym Jego Świątobliwości Ojca świętego.

Niespożyte zasługi położył nadto ks. prałat Klingenberg jako obywatel. Będąc jeszcze proboszczem lubawskim obranym został z okręgu lubawsko-brodnickiego posłem do sejmu pruskiego w Berlinie i w tym czasie, do koła polskiego należąc, podpisał jako członek program ligi polskiej. Roku 1849 wybrany był ponownie posłem razem z Elminowskim, włościaninem z Lembarku w powiecie brodnickim. Powiaty lubawski i brodnicki wybierały bowiem wtedy wspólnie dwóch posłów, a dopiero późniejsze ustawodawstwo rozłączyło je, aby nie zapewniać Polakom większości, jak wyraźnie w motywach powiedziano.

Odtąd już dzierzył on stale krzesło poselskie swego powiatu aż do r. 1862. Wtedy bowiem, po rozwiązaniu sojuszu, wybór padał już na innych. W czasie posłowania swego był ksiądz Klingenberg gorącym orędownikiem potrzeb swoich wyborców, którzy liczne petycye, zwłaszcza o równouprawnienie swoje jako katolicy i Polacy na jego ręce składali.

W roku 1862 wybranym został posłem nad Renem; gdy przecież sejm rozwiązano 1863 r., nie posłował już więcej. Jako reprezentant Nadreńczyków należał do ówczesnej frakcyi katolickiej, a nie do Koła polskiego.

W Lubawie zażywał wielkiego szacunku i nieograniczonego zaufania, zwłaszcza u swoich parafian, którzy z tego powodu wybierali go sobie niejako sędzią polubowym i większą część spor-

nych spraw swoich pod jego sąd oddawali, przestając na jego wyroku.

Należy też podnieść, iż był kuratorem aż do trzech klasztorów sióstr Wincentek: lubawskiego, chełmińskiego i pelplińskiego. W r. 1890 obchodził ks. prałat Klingenberg 50-letni jubileusz kapłaństwa w zaciszu klasztoru chełmińskiego. Od Najprzewieleb. Ks. Biskupa i od prześwietnej Kapituły otrzymał z tego powodu kosztowne upominki, ale zwykłe odznaczenie orderowe nawet wtedy go minęło, gdyż nie zapomniano jego stanowczego występowania w sejmie i na stanowisku officyała w obronie praw Kościoła św.

W Czwartek, dnia 21-go Lutego 1895 o godzinie 3 po południu dzwony katedralne pelplińskie oznajmiły smętnym swym dźwiękiem, że dziekan tumski i protonotaryusz apostolski oraz prałat domowy Jego Świątobliwości ks. Antoni Klingenberg Bogu ducha oddał. Zeszedł w nim ze świata kapłan wielkiej bogobojności i namaszczenia, człowiek niezmordowanej pracy i wypróbowanych zasad, nam zaś Polakom, aczkolwiek z domu nie mówił po polsku, dopiero później dobrze się mowy naszej nauczył, życzliwy przyjaciel i sprawiedliwością przejęty obrońca i orędownik. Duszy jego niech świeci światłość wiekuista!

SYN TĘPICIELA WILKÓW.

(Dokończenie.)

Gdy kapłani powrócili, zastali Gungę nieruchomego z oczyma wrytemi magnetycznie w obłąkane źrenice ducha.

— Przywiążcie tę kobietę do ołtarza — rzekł po chwili zmienionym głosem — i przynieście ogień święcony, aby ją spalić na cześć bogini naszej. Obwieśćcie zarazem ludowi, iż dziś jeszcze, nim noc zapadnie, niebo ześle deszcz na spragnioną ziemię naszę.

— A gdy kapłani rzucili się, aby spełnić jego rozkazy, Gunga dostrzegł przedmiot jakiś błyszczący na obnażonej szyi ofiary, która bezbronne ręce swoje poddawała pod powróz.

— Zdejmcie to — rozkazał, stosując się do przepisanego prawami ceremoniału obrządku.

Podano mu przepołowioną rupią zawieszoną na cienkim sznureczku, i przywiązano Perłę do ołtarza, przed którym arcykapłan stał, zamyślony głęboko. Uderzono w wielki dzwon, na znak radości, i kapłani przyszli z procesyą, niosąc święcone zarzewie do zapalenia stosu.

Ale Gunga skinął na nich, mówiąc: »Wstrzymajcie się«, i wolnym krokiem wszedł do święconego przybytku, do którego nikt prócz niego nie miał przystępu. Tam zdarł z piersi kapłańską szatę, chwycił za zawieszony na święconej przędzy amulet i przyłożył go do trzymanej w ręku rupii. Odłamki monety w zupełności przystawały do siebie, tworząc jednę całość.

Arcykapłan uczuł, iż kolana uginają się pod nim i padł twarzą śmiertelnie pobladłą, na zimny marmur posadzki. Dreszcz konwulsyjny wstrząsał jego ciałem; słowa modlitwy kamieniały na ustach.

Upłynęła długa chwila a on leżał wciąż odrętwiały, bezwładny, ukorzony przed obecnością mściwego bóstwa, któremu poświęcił młodość swą i życie pełne nadziei i zapału. Wrzawa głośna niecierpliwiącego się dokoła świątyni ludu, zbudziła go z odrętwienia. Ukrywszy złamaną rupią na piersiach, wszedł do świątyni, którą znalazł pustą. Na ołtarzu tylko leżała skrępowana ofiara: Matka jego!

W jednej chwili potargał jej więzy, i rzuciwszy je na ołtarz, chwycił drogi ciężar na ręce i uniósł go do sanktuaryum. Złożył staruszkę u stóp posągu Doorgi a rzuciwszy się na kolana, ca-

łował ręce jej i nogi, czoło pomarszone i siwe włosy, spadające na ramiona, wołając: Matko! matko moja!

Spragnione usta jego z niepojętą tkliwością powtarzały słodki ten wyraz; słuch pieścić się i upajać zdawał brzmieniem jego, a łzy, pierwsze które wylał od dzieciństwa, staczały się po męzkiem obliczu kapłana.

Wyraz niebiańskiego szczęścia rozpromienił konające oblicze matki; źrenice jej przytomne choć zachodzące mgłą śmierci, utonęły w pochylonej twarzy jedynaka; głowę ociężałą wsparła na jego ramieniu i szepcząc słodko: Synu mój... skonała w jego objęciu.

A wraz ze świadomością, iż matka jego żyć przestała, cała okropność położenia uprzytomniła się arcykapłanowi. Wszak stało napisane w Piśmie Świętem, iż przeklęty do tysiącznego pokolenia będzie syn, który nie zapali własnoręcznie stosu pogrzebowego rodziców swoich, a mógłże on, Gunga, arcykapłan Doorgi, syn święconej rzeki Gangesu, święty pomiędzy świętymi, wyznać wobec ludu całego, iż nie był braminem? Mógłże powiedzieć mu, że przez lat tyle, on potomek wzgardzonego rodu syn tępiciela wilków, świętokradzcą był w tej świątyni, którą obsługiwał; że popełnił zbrodnię, za którą niema dostatecznej kary na ziemi ani odpuszczenia w niebie?! A głód, który dziesiątkował lud niewinny, nie byłże karą zesłaną przez znieważoną boginię. za jego występek? Stał przez chwilę nieruchomy, wpatrzony w otwarte jeszcze, szkliste źrenice matki, w których tkwił stężały wyraz miłości bez granic a myśli straszne, jak płomienie ogniste, przelatywały przez głowę jego. Zdawało mu się, że słyszy dokoła dzikie wrzaski pospólstwa wołającego nań: »Podły parya! oszuście! zwodzicielu nikczemny!« Ale ponad tą wrzawą motłochu, górował głos sumienia a głos ten spokojnym był i donośnym.

— Wybieraj — mówił on do niego — wyznaj kim jesteś i zbaw duszę matki i swoję własną, giń spełniając obowiązek; albo żyj nadal w kłamstwie a po latach niewielu bądź potępionym wiecznie za to, że nie spełniłeś synowskiej powinności.

Ponowny, natarczywy krzyk ludu wyrwał Gungę z śmiertelnego wahania, w którem losy jego ważyły się na szali. Objąwszy oburącz święcone, woniejące drzewo przygotowane na ofiarę, napełnił żywicą i aromatami fałdy podniesionej swej szaty, powrócił do sanktuaryum i ułożywszy wysoki stos dokoła leżącego u stóp Doorgi trupa matki, przyłożył doń ogień z ołtarza zdjęty. Patrzył jak płomienie ogarniały szaty zmarłej, złocistemi blaskami rozpromieniając sine jej oblicze; potem zamknął za sobą drzwi przybytku, których nikt prócz niego nie miał prawa przekroczyć, a wspinając się po ołtarzu i posągu Doorgi, dostał się przez oszklony w sklepieniu otwór, na dach świątyni. Ztamtąd wszedł na najwyższy szczyt środkowej kopuły i przystanął, spoglądając z góry na lud, który miotał się w uniesieniu radosnem. Wszystkie twarze zwrócone były ku niebu, bo tam na horyzoncie, kędy widniały purpurowe pręgi zachodu, wielka czarna chmura posępnym całunem zawisła nad obłokami; chmura ta rosła i potężniała z każdą chwilą, a zrywający się wiatr, który szeptać już poczynał w liściach bananów i małe tumany kurzu podnosił nad drogą, skrzydłami swemi niósł ją i pędził coraz bliżej; w końcu zasłoniła ona całą jasność słoneczną a duże, rzadkie krople deszczu padać poczęły z litościwego nieba na spragnioną ziemię.

Gunga stał i patrzył. Spokojnym był siłą męczeńską, która odbijała się na bladem jego obliczu, dokoła którego wiatr igrał z jasnym jego włosem. Choć bowiem odnośnie do wierzeń swych współwyznawców, popełnił był świętokradztwo zdejmując święcone zarzewie z ołtarza, dla dopełnienia rytuału cudzego obrządku, jednak spokojnym był w sumieniu swojem, bo zadosyć uczynił powinności synowskiej.

U stóp jego lud krzyczał i radował się, aż świątynia wstrząsać się zdawała w podwalinach swoich, a wśród wichru

i deszczu rozbrzmiewały do koła wołania: »Doorga jest wielką i wielkim jest jej arcykapłan!« A syn stał nieruchomy, zapatrzony w nie, bo, jakby natchnionym wzrokiem zbadać chciał jego tajemnice, które hukiem grzmotów i błyskiem piorunów przemawiały do ludzi. Spalone usta chwytały orzeźwiający powiew wiatru, który chłodził czoło młode, na którem świtały myśli wielkie; tęskne oczy spuściwszy się ku ziemi, obejmowały ją ostatniem spojrzeniem, naraz błyskawica straszna rozdarła chmury, zakreśliwszy nad głową arcykapłana świetlaną aureolę. W blasku jej lud zgromadzony u stóp świątyni ujrzał chylącą się postać, która zgarnąwszy fałdy białej szaty, rzuciła się z dachu na marmurowy dziedziniec.

Gdy arcykapłana podniesiono — już nie żył; dobry syn połączył się z matką.

KONIEC.

MAŁPY.

(Ciąg dalszy.)

Druga z małp człekokształtnych, Szympans, dzieli z gorylem ojczyznę, ponieważ zamieszkuje lasy zachodniej Afryki, w niższej i wyższej Gwinei. Jest znacznie od goryla mniejszy, także czarny, mniej niż tamten podobny do człowieka, lecz przewyższa go umysłowemi zdolnościami; może to jednak ztąd pochodzić, że goryl dotychczas bardzo mało jest znany, a szympans już od XV stulecia był poznany i czyniono nad nim liczne spostrzeżenia, zarówno w wolnym jego bycie, jak i w niewoli.

Lubi on więcej towarzystwo niż goryl i bardzo zręcznie włazi na drzewa, tak że wielka zachodzi trudność w złowieniu żywcem starego szympansa. Napastowany, broni się energicznie i nie można go jako przeciwnika lekceważyć. Zresztą jest żwawy i dosyć łagodny, oswaja się łatwo i daje się do różnych posług układać. Często bywa przywożony do Europy, ale w naszym klimacie, w krótkim czasie kończy na suchoty płucne.

Najdawniej, bo od wielu wieków znaną małpa, przedstawiającą podobieństwo z człowiekiem jest Orangutan, gdyż już stary rzymski naturalista Plinius opowiada wiele o mieszkającym w Indyach »satyrze.« Należy dodać, że po indyjsku Orang znaczy człowiek, utan zaś dziki; utang albo outang jak często, lubo mylnie piszą, znaczy zbójca. Zwierzę to obecnie zdaje się znajdować tylko na wyspie Borneo, gdy dawniej mieszkało na wszystkich innych indyjskich wyspach. Ze wszystkich małp podobnych do człowieka orangutan ma najdłuższe ręce, sięgające przy wyprostowanej postawie aż do kostek. Ciało jest pokryte gęstym ciemno rdzawo lub brunatno czerwonej barwy włosem, twarz i dłonie są nagie, jasno-miedzianej lub ceglastej barwy, lecz zwykła barwa skóry pod włosem jest niebieskawo-szara. Włos na głowie spada ku przodowi na twarz, na przedramieniu skierowany jest ku łokciom. Zupełnie zdrowe zwierzęta nigdy nie opierają ciężaru całego ciała na przednich rękach ale przeważnie na zadnich, opierając tylko lekko palce rąk przednich na ziemi, dla utrzymania równowagi, co mu jest koniecznie potrzebnem, gdyż młody orangutan, nawet prowadzony za jedną rękę, nie może długo iść wyprostowany na zadnich rękach, nie dopomagając przytem sobie oparciem drugiej przedniej ręki na ziemi, w razie zachwiania równowagi.

W stanie spoczynku orangutan często siedzi ze skrzyżowanemi nogami na wzór ludów wschodu, a do snu układa wyciągając się na grzbiecie albo na boku, zgina lekko kolana a ramiona krzyżuje na piersiach. Sprawozdania wielu podróżników głoszą, że orangutany w lasach swej ojczyzny budują sobie na

gałęziach drzew z liści i splecionych gałązek szałasy, chroniące je zarówno od palących promieni zwrotnikowego słońca, jak i od obfitej nocnej rosy. Müller z Heidelbergu, który jako zoolog pozostający w holenderskiej służbie na wyspach indyjskich, często miewał zręczność czynić spostrzeżenia nad orangutanami, opisuje je jako zwierzęta w wysokim stopniu nietowarzyskie, pędzące życie samotne, albo najwyżej po dwa lub trzy razem. Wygląd ich jest surowy i melancholiczny, temperament apatyczny, ruchy powolne i na pozór niezgrabne; z natury są tak ociężałe i leniwe, że jedynie uczucie głodu albo obawa grożącego niebezpieczeństwa mogą je wyrwać z gnuśnego spoczynku i pobudzić do energicznej czynności. Pod wpływem jednak tych bodźców okazują taką energię i dzielność, jakiej nie można było się domyślać, sądząc z ich ociężałego i apatycznego wyglądu: siła jego zaś tak jest wielką, że walka z nim, bez pomocy broni palnej, byłaby wprost niemożliwą. Krajowcy na wyspie Borneo bardzo się ich obawiają i starannie omijają miejsca znane jako siedlisko orangutanów. Rzadko je można spotkać na ziemi, ponieważ stale trzymają się na drzewach, torując sobie drogę wśród gałęzi z zadziwiającą zręcznością. Cały czas przepędzają w szałasach swoich na drzewach i opuszczają je tylko dla wyszukiwania sobie pożywienia. Żywią się wyłącznie owocami i nie widziano ich nigdy spożywające mięso lub jaja, chociaż młode orangutany w niewoli prędko nawykają do mięsnych pokarmów. Müller słyszał na Sumatrze o orangutanach w tamecznych lasach, sam jednak nie widział żadnego.

Anglikowi Clarke Abel zawdzięczamy cenne spostrzeżenia, zrobione przez niego nad orangutanem złowionym na Borneo i przywiezionym przez pewnego kapitana do Jawy, a ztamtąd do Europy, podczas tej morskiej podróży.

»Gdy to zwierzę siedzi na równej płaszczyźnie, zakłada nogę jednę na drugą; siedząc na gałęzi lub na linie, spoczywa na piętach, ze skurczonemi kolanami i ciałem pochylonem naprzód. Po przybyciu z Borneo na Jawę, nasz orangutan, zanim został wyprawiony na okręt »Caesar,« przez parę dni chodził zupełnie wolno i nie próbował nawet uciekać, jeśli nie ograniczano jego swobody; lecz gdy go wsadzono do wielkiej bambusowej klatki, w której miał być na okręt odwieziony, wpadł w wielką wściekłość. Poznawszy, że jest w niewoli, pochwycił rękami żelazne pręty swej klatki i wstrząsając niemi, usiłował je połamać; przekonawszy się jednak, że całej klatce nie da rady, wziął się do pojedynczych prętów i znalazłszy nareszcie jeden słabszy od innych, wyłamał go i wydostał się na wolność. Po przywiezieniu go na okręt, próbowano rozmaitymi sposobami go obezwładnić, ale zawsze potrafił się wyswobodzić, tak że nareszcie pozwolono mu wolno chodzić po okręcie; wkrótce zabrał znajomość z majtkami i przewyższył ich w zręczności łażenia po linach; majtkowie bowiem upędzali się za nim, ciesząc się, że tak zręcznie umiał im się wywijać. Z początku umykał przed niemi za pomocą szybkości skoków, ale gdy się ujrzał ze wszystkich stron otoczonym, uchwycił się luźno wiszącej liny i zawisł, bujając się na niej w powietrzu. Czasem czekał spokojnie na drabinie sznurowej, albo w koszu masztowym, póki jego prześladowcy się nie zbliżą, a gdy już byli pewni że go pochwycą, wtedy jednym skokiem dopadał liny i spuszczał się na niej na pokład, albo po rejach przeskakiwał z jednego masztu na drugi. Często majtkowie wstrząsali linę na której siedział, tak mocno, żem się obawiał, aby nie spadł do morza; prędko się jednak przekonałem, że siła jego muskułów wytrzyma zwycięzko tę próbę. Gdy wpadł w dobry humor, wtedy zbliżał się do swego prześladowcy na długość ramienia i dawszy mu porządnego szturchańca, w mgnieniu oka jednym potężnym skokiem, chronił się przed odwetem. Na Jawie zamieszkiwał on wielkie tamaryndowe drzewo, rosnące blisko mojego mieszkania; urządził sobie na niem legowisko z posplatanych gałązek przykrytych liśćmi. Cały dzień

leżał w tem gnieździe, wysunąwszy tylko głowę i patrząc na przechodzących; złaził zaś wtedy tylko, gdy ujrzał niosących owoce, aby część swoją dostać. Wracał zawsze na noc do swego gniazda, o zachodzie słońca albo i wcześniej, jeśli był dobrze nakarmiony. Wstawał o wschodzie słońca i odwiedzał tych, którzy go karmili. Na okręcie sypiał zazwyczaj w koszu masztowym, okrywając się kawałkiem żaglowego płótna. Robiąc sobie legowisko, bardzo był zajęty usuwaniem wszystkiego, co posłanie jego mogło czynić nierównem. Wtedy dopiero rozpościerał płótno, kładł się na niem na wznak i drugą jego połową się przykrywał. Czasami uprzedzałem go, zajmując jego legowisko i drażniąc go tem, że niby nie chcę mu ustąpić. Wtedy usiłował wyciągnąć z podemnie płótno, albo skłonić mię do ustąpienia mu i uspokoił się dopiero wtedy, gdy cel swój osiągnął. Jeśli płótno było dostatnie i wystarczało dla na obu, wtedy spokojnie układał się przy moim boku. Gdy płótno schowano, wtedy szukał innego okrycia i raz ukradł kurtkę u majtka, to znowu ściągnął koszulę rozwieszoną do wysuszenia, albo kołdrę z hamaku.

»Pożywienie jego na Jawie składało się z owoców, zwłaszcza z mangustów, które nadzwyczajnie lubił. Na okręcie jadł chętnie mięso, zwłaszcza surowe, lubił też chleb, ale nadewszystko przekładał owoce, jeśli tylko mógł ich dostać. Na Jawie, za napój służyła mu woda, na okręcie napój jego równie był urozmaicony jak jadło; najlepiej lubił kawę i herbatę, lecz chętnie też pijał wino, a upodobanie w gorących napojach zaznaczył tem, że u kapitana ukradł butelkę koniaku. Sposób w jaki się starał otrzymać pożywienie, dawał nam możność poznania jego charakteru i bystrości. Chwytał chciwie podawane sobie jadło i wpadał w gniew, gdy mu go natychmiast nie podano. Upędzał się też za służbą, u której w ręku widział jadło. Rzadko wychodziłem na pokład, nie mając w kieszeni słodyczy lub owoców i wtedy nie mogłem się ukryć przed śledzącym jego wzrokiem. Niekiedy usiłowałem ukryć się przed nim, wspinając się do masztowego kosza, ale zawsze on już mię tam uprzedził. Wtedy zaczepiał się jedną zadnią ręką za linę, drugą zadnią i jedną przednią obejmował mię za nogi, a pozostałą wolną przednią ręką starannie opróżniał mi kieszenie. Kiedy mu się nie udawało mię dosięgnąć, wówczas wdrapywał się wysoko po linach i ztamtąd spadał na mnie, a gdy przeniknąłem jego zamiar i zstępowałem już na dół, wtedy szybko spuszczał się po linie i spotykał mię na dole. Czasem też uwiązywałem pomarańczę na sznurku i spuszczałem ją na pokład z kosza masztowego, a gdy chciał ją uchwycić, podrywałem ją sznurkiem do góry.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Jaguar na łowach. Jaguar jest najdrapieżniejszym czworonogiem Ameryki. Ojczyzną jego jest przeważnie Ameryka południowa, lecz i w północnej można go spotkać, lubo tylko pojedyńczo, jak w Mexyku i południowo-zachodnich prowincyach Stanów Zjednoczonych. Jaguar przebywa chętnie w gęstwinie nad brzegami rzek lub w pobliżu bagien. W dzień odpoczywa w wysokiej i gęstej trawie lub krzakach; równo jednak ze zmierzchem wychodzi z swej kryjówki, polując do poźnej nocy na zdobycz. Pożera on wszelkiego rodzaju zwierzęta. Jednakowoż nigdy więcej nie zabija, aniżeli poźreć jest w stanie. Również i dla aligatora staje się niebezpiecznym, gdyż pływak z niego znakomity. Największym przysmakiem jaguara są żółwie. Jak wszystkie koty dwa razy na zdobycz nie skacze, jeżeli ją w pierwszym skoku chybił. Niektóre plemiona Indyan jedzą bardzo chętnie mięso z jaguara; skóra z niego jest również bardzo ceniona. Na rycinie widzimy jaguara czychającego na zdobycz a w pobliżu pływającego aligatora. Aligator padnie niezawodnie ofiarą, jeżeli się zbytnio do drzewa, na którem wróg jego czycha, przybliży.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

LICHWIARZ.

— Hej! niesumienni ludzie, jutro upływa ostateczny termin, jaki wam przez szlachetną litość dałem; ale wyście o nim widzę nadobre zapomnieli — a dłużej już czekać nie będę!

Ta groźba, wypowiedziana pod pogiętem sklepieniem nędznego poddasza, w uszach jego mieszkańców zahuczała niby echo trąby, co się odezwie na sądzie ostatecznym. Wszystkich oczy zwróciły się z przerażeniem ku drzwiom, w których straszyła blada, chciwością napiętnowana twarz lichwiarza Barbetty; wzrok jego podobny do wzroku drapieżnych ptaków, igrał z ofiarami swej przemocy.

Stara Elźbieta jakby odzyskała siły, jakieś uczucie strachu ją poruszyło, dreszcz zimny przeszedł jej po skórze, wysuszonej przez febrę; leżąc na nędznym tapczanie, z głową obwiązaną łachmanami, rzucała wzrok przerażony, żarzący się gorączką, osłupiały, na to widmo we drzwiach, co przyszło, aby jej zaniepokoić chwilę konania.

Ulisses, jej mąż, stary marynarz, który naprawiał sieć siedząc przed wygasłem ogniskiem, upuścił z ręki tkackie czołenko, a z pod wielkiego palca nogi wymknęła mu się plecionka. Nagłe przygnębienie go opanowało, siedział jak skamieniały, nie mogąc znaleść słowa na odpowiedź dla napastnika.

Syn jego Ambrogio w ciemnym kącie izdebki melancholicznie końcem noża sądował głębię wypalonej fajki; — usłyszawszy głos lichwiarza wypuścił z oczu strzały płomienne, które przebiły ciemność poddasza, ale wrogowi nic złego nie zrobiły.

— Tym razem nie znajdziecie u mnie żadnej litości, rozpoczął znowu Barbetta głosem ochrypłym; jeżeli jutro przed południem nie spłacisz mi długu, wówczas zlicytuję cię natychmiast; — sprzedam twoję łódź rybacką, albo spalę ją na pociechę Madony, aby ją przebłagać za moję zatwardziałość względem takich hultai wierutnych, jakimi wy jesteście!

Lichwiarz to powiedziawszy wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi przegniłe, z których odtrącone szczątki upadły z hałasem na ziemię.

Wynędzniała twarz Elźbiety zaledwie wychylić się zdołała z łachmanów, w jakich się kobieta zakopała; konająca niespokojnie pytała męża i syna, którzy w milczeniu spoglądali na siebie.

— Nieszczęście! nieszczęście! zajęczała chora. Co zrobimy z sobą, jeśli nam zabiorą łódź, nasz jedyny sposób do życia?

— Co robić? powtórzył ponuro Ambrogio, którego palce ciągle ściskały niespokojnie rękojeść noża.

— Mamy tylko dwie rzeczy do wyboru, przemówił Ulysses, albo iść na połów dziś w nocy, albo zabić tego człowieka.

— Zabijmy go, potwierdził z determinacyą Ambrogio.

— Zabijcie go, przywtórzyła matka.

— Lecz, zaoponował ojciec jeśli połów nam się uda, będziemy mogli jutro spłacić cały dług; ostatniej nocy Giacomo zapełnił cały ładunek w ciągu dwóch czy trzech godzin.

— Noc jest czarna, słyszę jak morze wściekle się rozbija; mruczała Elźbieta.

— A do tego — nastawał syn — nie mamy ani wódki, aby się na wodzie rozgrzać, ani oliwy na przynętę, ani ognia dla rozproszenia ciemności.

— Mogę to wszystko wziąć od Giacoma; ma zapewne pieniądze — dziś rano sprzedał wszystkie swoje ryby.

— Zapominasz ojcze, żeśmy już mu winni sporo.

— Pożyczy nam przynajmniej niedopałek pochodni, nieco oliwy i kilka łyków wódki.

— Lepiej odrazu zabić tego potwora. Noc taka czarna, morze czeka na ofiary; kusiła stara.

Jakby na potwierdzenie jej rad złowrogich, straszny wicher od morza uderzył na dach, który zatrząsł się i zatrzeszczał; zawiasy u okna, gwałtownie szarpnięte, zgrzytnęły przeraźliwie; huk, pochodzący z rozbijania się fal o kamienną tamę, ogłuszał radzących.

— Niech się dzieje, co chce! wyrzekł Ulisses. Sprobujmy!

Ambrogio odetchnął, jakby mu kamień spadł z piersi, i schował nóż do kieszeni, wprzód przyjrzawszy się dobrze ostrzu, co błyszczało w ciemnościach poddasza. Chora także odetchnęła swobodniej; — i jej piersi już nie tłoczyła niepewność.

— Chodźmy sprobować, powtórzył Ulisses, kładąc na głowę czapkę wełnianą i na plecy sukmanę połataną. — Jeżeli cios uda się — łotr będzie miał to, na co zasłużył; jeśli chybi — pójdziemy ryby łowić.

Wyszli.

— Idźcie, powiedziała za nimi chora, a wracajcie niedługo.

* * *

Wiesz co, mój synu — mówił Ulisses odwięzując łódź — wolę jeszcze sprobować połowu, chociaż noc taka niepewna.

— Ja wolałbym odrazu tego psa wysłać na tamten świat, odrzekł lakonicznie Ambrogio, przymocowując wiosła.

— We wszystkiem jest przeznaczenie, mój synu. Jeżeli niepogoda zatrzymała Barbettę w domu i pozwoliła mu przez to uniknąć zaczajonych na niego wrogów, to widocznie Bóg

nie chciał, abyśmy swe ręce splamili krwią bliźniego.

Syn nie dał się przekonać tą sentencyą moralną, pociągnął z flaszki wódkę i podał ją ojcu, który napił się także; potem zapalił fajkę i silnem uderzeniem wiosła odepchnął łódź od kamiennej tamy.

Ojciec zapalił pochodnię zatkniętą na przodzie łodzi; wkrótce płomień rozwlóczony wiatrem wydłużył się w flagę ognistą, co się odbijała w wzburzonej wodzie jak plama krwawa.

Statki kołysały się na swych kotwicach łodzie rybackie, z żaglami zwiniętemi i opuszczonemi wiosłami, stały w linii przywiązane do brzegu; kilku rybaków śledziło wzrokiem Ulissesa, który stojąc przy sterze, oświecony ogniem pochodni, wyraźnie rysował się na tle ciemności nieba i morza.

Port podobny był do pływającego miasta, którego mieszkańców ukołysało do snu ciągle pluskanie wody pod dnami statków, ostre gwizdanie wiatru pomiędzy sznurami, i odgłos dalekiej burzy. Gdy błyskawica rozdarła horyzont — maszty rysowały się w powietrzu jak ramiona lunatyków kołyszących się na falach.

Łódź Ulissesa, pod wodzą silnego ramienia Ambrogia, sunęła szybko po wzburzonych wodach portu; niezadługo spotkała się ze spienioną falą, którą kamienna tama odepchnęła na szerokie morze. Wicher dął na skały tworzące tamę, o którą rozbijały się wody uderzające z wściekłością. U wejścia do portu była linia rozgraniczająca spokój od burzy, był punkt, w którym spotykały się bezpieczna przystań i niepewny ocean.

Ten punkt, tę linią, trzeba było przebyć. Dwa razy łódź Ulissesa uderzała śmiało spiętrzone fale, dwa razy fale odrzucały ją niby piłkę najlżejszą. Ambrogio, rozgrzany niecierpliwością i wódką, odważył się jeszcze na jeden zuchwały atak, — łódź została tym razem wyrzuconą na sam szczyt fali i zachwiała się jakby miała wpaść w przepaść; herkulesowej siły rybak uderzył na nowo wiosłem i zepchnął łódź w rozszalałą burzę.

Przez godzinę krucha łódź była rozbijana o góry piany kipiącej dokoła; woda wznosząca się z szaleństwem rozbieganego rumaka, to chciała łódź podrzucić do nieba, to starała się pogrążyć ją w głębiach oceanu; chwilami widziano łódź uczepioną na wzdęciach, chwilami ginęła w czeluściach ciemnych, otoczonych ze wszystkich stron wodą, gdzie pochodnia błyszczała jak latająca gwiazda. Płomień żywicy oświecał konwulsye jakim łódź ulegała.

Była jednak jakby chwila wypoczynku w tej walce żywiołów. Wiatr dął jeszcze ale już nie z taką gwałtownością; fale jeszcze się burzyły, lecz szczyty ich przybierały coraz równiejsze powierzchnie. Łódź sunęła po tych powierzchniach, robiąc koła szerokie, majestatyczne. Rybacy, przyzwyczajeni do szarpania się z wichrem rozrywającym włosy i odzienie. do rozbijania się łodzi na szczytach i w głębiach, do dzikiego echa wzburzonych żywiołów, odzyskali przytomność, zmiarkowali gdzie są i do równowagi zupełnej doprowadzili zmysły na chwilę zamącone nadludzką prawie walką i groźbą niebezpieczeństwa.

Ambrogio wychylił ostatni haust wódki, potem oddał wiosło ojcu, który zastąpił syna w kierowaniu łodzią. Młody rybak pochwycił harpun i umieścił się zuchowato na posterunku bojowym, oparłszy lewą nogę na przodzie łodzi a drugą na jej brzegu. Rozlał kilka kropel oliwy dokoła łodzi i wychylił się natężając wzrok, gorączkowo oddychając, z harpunem naprzód, jak z lancą do ataku.

Ramiona i nagie nogi odbijały blask pochodni, co się paliła nad jego głową; wicher rozrzucał mu włosy i odzienie, cała jego postać wyraźnie się rysowała na powierzchni wody. Oko jego gorzało żarem południowym, narzędzie mordercze trafiało szczęśliwie i zręcznie w ryby zwabione kulkami oliwy, uchodzącemi przy płomieniu pochodni za żer łakomy. Ani jedno uderzenie nie chybiło; już spora kupa ryb leżała u nóg Ulissesa, który z radością patrzył na dzielne uderzenia i wprawnem okiem obliczał wartość połowu.

W niewielką godzinę w łodzi już tyle ryb leżało, że spieniężywszy je można było zupełnie spłacić lichwiarza, i jeszcze starczyłoby na wyżywienie rodziny przez tydzień cały przynajmniej.

— Już dosyć synu, przemówił wówczas ojciec, nie kuśmy Boga; połów przeszedł nasze oczekiwania i potrzeby.

— Jeszcze jedno uderzenie! zawołał syn głosem rozdrażnionym.

Wzrok jego płomienie ciskał, twarz krwią nabiegła, ręce ściskały harpun konwulsyjnie; — z kolanem na cyplu łodzi i nogą opartą o jej brzeg, nachylony, ścigał wzrokiem ryby, co się pod łódź wciskały.

— Dosyć już! dosyć! powtarzał ojciec głosem niespokojnym.

Ambrogio poraz ostatni, jak mówił, zapuścił w wodę broń rybacką.

W chwili kiedy wychylony z łodzi badał wzrokiem czy uderzenie było dobre, fala nadbiegła, zepchnęła łódź z miejsca i wszystko oblała pianą. Ulisses pochwycił wiosło i zanurzył je w falach; wzrok jego na chwilę zajęty tym niespodziewanym atakiem, teraz zwrócił się ku przodowi łodzi.

Syna tam nie było.

Nadeszła druga fala i łódź jeszcze dalej odrzuciła. Ulisses robił nadludzkie wysilenia aby utrzymać się w miejscu, i podczas gdy z rozpaczą robił wiosłem, nadstawiał ucha czy wśród burzy nie usłyszy krzyku syna.

Nikt nie woła!

Tylko słupy wody ryczą po dawnemu. Pochodnia zamoczona rzuca blade światełko; Ulisses przeszło godzinę, która wydaje mu się wiecznością, krąży po tej przestrzeni, nie tracąc nadziei, że znak jaki lub głos na pomoc go wezwie. Ambrogio był dzielnym pływakiem; brał on nieraz górę nad towarzyszami — ale tym razem morze było tak wzburzone, noc tak czarna!

Ambrogio wpadł do wody, nie mając czasu ani krzyknąć, ani ręki wyciągnąć

Biedny ojciec utkwił wzrok w głębie oceanu; w oddali widział cienie bałwanów, które przybierając kształty ludzkie, szamocące się z sobą jakby w ucieczce przed śmiercią, nieszczęśliwego łudziły.

Niekiedy zdawało mu się, że widzi ciało pływające na powierzchni wody; gdy fala uderzyła o spód łodzi zdawało mu się, że trup jego syna o dno się rozbija. Ale te gorączkowe przerzucania się od nadziei do z wątpienia, od zwodniczych cieni do prawdy musiały się nareszcie skończyć. Wyobraźnia gorączki i rozpaczy musiała ustąpić rzeczywistości; prawda straszna, nieubłagana, stanęła przed oczyma doświadczonego rybaka.

Rybak już zwątpił o wszystkiem, ale ojciec jeszcze się spodziewał...

Nareszcie i na ojca przyszła chwila rozczarowania; ugiął się i on pod ciężarem zwątpienia. Rzucił okiem rozpaczy na zdobycz, którą syn złożył u nóg jego. Ryby jeszcze się rzucały w konwulsyach konania, oczy ich błyszczały blaskiem nieruchomym, paszcze miały roztwarte.

— Co mam robić z tem bogactwem? zapytał się rybak głosem ponurym. Wówczas stanęła mu na oczach żona, co w zimnej izbie na barłogu, głodna, zniszczona febrą konała. Wstrząsł się, chwycił wiosło i był gotów do stoczenia ostatniej walki z przeznaczeniem.

Prędko płynął do portu; latarnia morska migotała niepewno, nieco dalej migotały latarnie nadbrzeżne.

Ulisses robił wiosłem z rozpaczliwą energią, już był niedaleko kamiennej tamy, dwa szczęśliwe rzuty wystarczały na dostanie się do portu. Wilk morski rozbijał wiosłem słupy wodne, jakby to słomki były; łódź już portu sięgała — gdy nagle fala, podobna do owego potworu co pochwycił już jedną ofiarę, na łódź się rzuciła.

W okamgnieniu łódź znalazła się na skale...

W nadmorskim mieście jeszcze wszyscy spali, przyjemnie kołysani harmonią wspaniałej burzy; celnicy czuwający noc całą w porcie ani się domyślali, że tuż obok nich, pod ich nogami rozegrał się straszny dramat; — wszyscy byli spokojni a lichwiarz Barbetta najsmaczniej zasypiał snem sprawiedliwego.

* * *

Dwa dni później znaleziono na brzegu wyrzucone ciała ojca i syna, i szczątki ich łodzi.

Przyszła ludność i ciała zabrano, aby kosztem miasta je pochować; przyszedł i lichwiarz ale zmarłym nie miał odwagi spojrzeć w oczy.

Poszedł on jednak na poddasze, myśląc, że może zdoła na czemś swą stratę choć w części odzyskać; — stanął we drzwiach i spojrzał Elżbiecie w oczy, co ostro patrzyły na niego.

Lichwiarz chciał przemówić, chciał pogrozić ale nie mógł, bo oczy szklanne odwrócić się od niego nie chciały.

Stał jak przykuty do ziemi, zapomniał chodzić; — oczy więcej siły miały, niż ramiona wszystkich jego wierzycieli...

Od drzwi lichwiarza oderwać musiano; wyniesiono go a on wciąż powtarzał, że wracać na poddasze musi, by zamknąć oczy uparcie w niego wpatrzone.

Praktyczne rady.

— **Czyszczenie kart.** Zabrudzone karty najlepiej czyszczą się za pomocą benzyny. Trzeba zwilżyć watę w benzynie i delikatnie wycierać prawą stronę karty.

— **Kit do kopyt końskich.** Dwie części gutaperki rozmiękcza się w wodzie dobrze ciepłej i dzieli na drobne kawałki wielkości orzecha; następnie, z jedną częścią gumy ammoniakalnej, topi się w naczyniu żelaznem, pobielanem, ciągle mieszając, dopóki masa nie nabierze koloru czekolady. Przed użyciem, ogrzewa się ją i za pomocą łopatki drewnianej smaruje szpary i rysy w kopytach. Kopyta przedtem powinno być starannie wymyte i oczyszczone.

Rozmaitości.

* **Odkąd karty znane są w Europie?** Przeciwnicy kart utrzymują, że zostały wymyślone dla zabawienia chorego na umyśle króla francuskiego Karola VI. Ogólnie mniemają, że jest to wynalazek francuzki z XIV wieku; tymczasem karty są starożytniejsze i niewątpliwie pochodzą ze Wschodu. Jako dowód wschodniego ich pochodzenia przytaczają fakt, że we Włoszech zwano je początkowo Naib, w Hiszpanii zaś Naipes, wyrazy oznaczające w arabskim języku przepowiednię. Najbardziej prawdopodobnem jest przypuszczenie, że Cyganie, którzy i dziś zajmują się głównie wróżeniem z kart, przynieśli je z Indyi Saracenom. Stamtąd rozpowszechniły się we Włoszech, Hiszpanii i Portugalii. Pochodzenie kart musi być indyjskie, gdyż między

wizerunkami, malowanemi na nich, a figurami szachowemi wielkie zachodzi podobieństwo. Początkowo w szachach był tylko król albo sułtan, wezyr i jeździec jako oficerowie, reszta zaś zwała się piars, co w Indyach oznacza pieszych żołnierzy; u nas mają miano pieszków albo pionków. Tak samo w kartach pierwotnie były tylko trzy figury: król, rycerz i giermek. Szachy posiadały 32 figury i tyleż kart było w talii; później liczba ich wzrosła do 36, ostatecznie zaś doszła do 52 Już w roku 1299 znane były w Niemczech włoskie karty. Włochy bardzo długo dostarczały ich Europie, gdyż tam najpiękniej umiano je malować. W Anglii używano ich już w r. 1278; w księdze rachunków króla Edwarda I. znajduje się następująca pozycya: »Cztery króle 8 szylingów 5 pensów.« Aż do roku 1360 znano tylko karty ręcznie malowane, dopiero w połowie XIV wieku zaczęto drukować je w Niemczech, wskutek czego stały się tak tanie i przystępne, że nie tylko wyższe stany, ale i lud zaczął ich używać. We Francyi cztery odmienne kolory w kartach zwą się: coeur (serce), carreau (kwadrat), trefle (koniczyna) i pique (włócznia).

* **Służące we Florydzie** używają do szorowania podłóg pomarańcz zamiast mydła; przecinają je na dwie połowy i mięsistą stroną wycierają zabrudzone deski. Podłogi, po takiem umyciu, lśnią się od białości. Pomarańcze we Florydzie są bardzo tanie.

* **W Październiku** r. 1684, złotnik, Mikołaj von Benschoten, w Amsterdamie, podarował pani von Reisselaar, na urodziny, pierwszy wynaleziony przez siebie i wyrobiony naparstek. W dołączonym do upominku liście, sławetny złotnik pisze, że posyła nowe, nieznane dotąd narzędzie dla ochrony pracowitych jej paluszków, jako dowód szczególnej czci i hołdu. W dwanaście lat później niejaki Jan Lotting wprowadził nowy wynalazek do Anglii, gdzie od razu się rozpowszechnił. Naparstki wyrabiano wtedy ze złota, srebra lub żelaza i noszono na wielkim palcu. W Chinach najwięcej są cenione naparstki z perłowej konchy, wysadzane złotem. Najpiękniejszy naparstek posiada królowa syamska; kształt jego przypomina kwiat lotosu, jest misternie ze złota wykuty i wysadzany brylantami.

ŻARTY.

Rzecz w żydowskiej szkole.

— Powiedz mi, gdzie siedzi rozum?
— On wcale sobie nie siedzi.
— A gdzież jest?
— On chodzi za interesami.
— Dlaczego?
— Bo jakby on siedział, toby nie był rozum.

Także powód.

On: Stojąc przed domem: Moje kochane dziecko, powiedz ojcu, aby tu wyszedł na chwileczkę.
Dziecko: Kiedy tatko nie ma czasu.
On: A cóż robi?
Dziecko: Mama go bije.

Podsłuchane.

— Cóżeś dał żonie na imieniny?
— Zastawiłem jej złoty zegarek, a za te pieniądze kupiłem nową suknię.

ZAGADKI.

1.

Jest wyraz złożony z 7 głosek, które oznaczamy liczbami arabskimi w porządku liter.

Liczby: 4, 5, 6, 4, 1 materya, którą noszą bogate panie.
6, 7, 2 wyraz w leśnictwie używany.
5, 6, 7 wyraz oznaczający coś, co jest koniecznem przy malowidle lub fotografii.

Co oznacza całość liczb, co oznaczają pojedyńcze liczby?

2.

Jaś dostawszy 10 książek, miał ich tyle, ile Kazio, a gdyby dostał 20, miałby o połowę więcej niż Kazio. Ile książek miał Jaś?

Rozwiązanie zagadek z Nr. 9:

1.

		o	g	m		
		b	r	a		
o	b	r	a	z	e	k
g	r	a	n	i	c	a
m	a	z	i	d	ł	o
		e	c	ł		
		k	a	o		

2.

Odpowiedź na to pytanie polega na własności liczby 9. Wypisuje się różne liczby, w których podzielną jest liczba 9, jak naprzykład 18, 27, 36, 108, 126 aż do 999. Jeżeli potem ktoś wybierze w myśli liczby, naprzykład 162 i 279, doda je do siebie, a w sumie 441 doda 4 + 1 i powie nam sumę 5, to my dopełniając 5 do 9, zgadniemy, że liczbą trzecią jest 4, wybraws y znowu liczby 171 i 288, będzie suma ich 459, a suma 5 + 9 = 14, dopełnienie do 18 jest 4, czyli liczba zgadywana.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.